Nr. 8 Rok 5 Kraków, dnia 20 lutego 1944. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI



Uśmiech zimy

Fot. Borek

„Wróg nasz — bolszewizm musi być pokonany"

NOWY KURIER WARSZAWSKI

Tragedia Polaków w Rosji Sowieckiej

Obrończyni ... orędzia Gubernatora

...dzina znalazła ... posterunku!

NOWY GŁOS LUBELSKI

Społeczeństwo polskie wypowiada sąd o bolszewiźmie

Echa świątecznej odezwy Generalnego Gubernatora dra Franka

KURIER CZĘSTOCHOWSKI

Częstochowa, wtorek 18 stycznia 1944 r.

Społeczeństwo polskie na ziemi ojczystej wypowiada sąd o bolszewiźmie:

„Nie ma mowy o kompromisie!"

„Precz z żydokomuną!"

Jednogłośne echo świątecznej odezwy Generalnego Gubernatora

GAZETA LWOWSKA

DZIENNIK DLA DYSTRYKTU GALICYJSKIEGO

Środa, 19 stycznia 1944 r.

„Nie ma mowy o kompromisie! Precz z żydokomuną!"

Społeczeństwo polskie na ziemi ojczystej wypowiada sąd o bolszewiźmie

Jednogłośne echo świątecznej odezwy Generalnego Gubernatora

Jego Ekscelencja Pan Generalny Gubernator!

Ekscelencjo!

Prośba.

Niedawno temu opublikowała prasa Generalnego Gubernatorstwa cały szereg listów, skierowanych do Generalnego Gubernatora Dr. Franka, które odzwierciedlają stanowisko różnych warstw ludności wobec niebezpieczeństwa zagrażającego Narodowi Polskiemu ze strony Moskwy. Dzięki uprzejmości kancelarii Generalnego Gubernatora jesteśmy dziś w stanie pokazać naszym czytelnikom kilka oryginalnych listów, w których jest mowa o stosunku Polaków do bolszewizmu.

Do Kancelarji Pana Generalnego Gubernatora Dr. Franka w Krakowie

Do Pana Generalnego Gubernatora Dra Franka w Krakowie

Wśród lodów i mgły



Fot: PK. Hager-TO.



Powyżej:
Przy każdym dziale stoi obsługa i obserwuje niebo i horyzont, by na czas zauważyć zbliżanie się nieprzyjaciół.

Powyżej:
Gruba powłoka lodowa pokrywa morze, po którym płynie niemiecki konwój, by zawieźć oddziałom walczącym na Północy prowianty i amunicję. Całą siłą pary rozpoczynają frachtowce swą podróż. Najcięższy i największy płynie na czele konwoju robiąc wyłom w pokrywie lodowej. Wyłomem tym płyną następnie inne okręty.

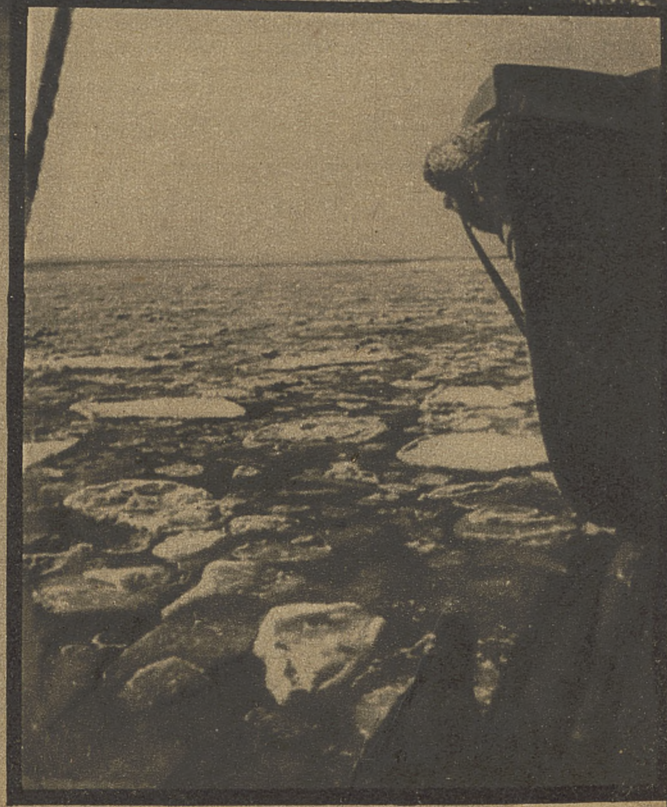
KONWÓJ NA DALEKIEJ PÓŁNOCY

Powoli przedziera się przez lody flotylla. Duża kra utrudnia ruchy okrętów, które zmuszone są płynąć jeden za drugim, śladem znaczonym okrętem przewodnikiem. Załoga okrętów musi się przy tym ustawicznie mieć na baczności przed niespodzianymi atakami nieprzyjacielskich samolotów. Działa są zawsze gotowe do strzału.

Poniżej:
Trudną i bardzo uciążliwą jest jazda wśród kry lodowej. Śnieg i mgła zasłaniają widok. Na mostku kapitańskim stoi kapitan i kieruje jazdą.







Powyżej i na prawo:
Szczelina w lodzie znaczy drogę konwoju z portu do morza. Dalszą drogę utrudnia bardzo gęsta kra.



PRZEDPOTOPOWE

I. ŚWIAT PRZEDPOTOPOWY W ŚWIETLE NAUKI

Duży rozwój nauk przyrodniczych datujący się zwłaszcza od półtora wieku, pozwolił na poznanie i zbadanie otaczającego świata mineralnego, królestwa roślin i zwierząt nie tylko w sąsiedztwie zbiorowisk ludzkich, lecz także w najodleglejszych i najniedostępniejszych wnętrzach puszcz podzwrotnikowych, niebotycznych obszarach górskich i lodowych pustyniach krain podbiegunowych.

Człowiekowi nie wystarczyło poznanie tego wszystkiego, co znajduje się na powierzchni ziemi, coraz dalej próbuje wdzierać się w głąb ziemi, a szybki rozwój lotnictwa pozwala mu na dotarcie do stratosfery, co jeszcze nie tak dawno mogło być tylko — nieziszczalnym wydawałoby się — marzeniem. Coraz lepsze mikroskopy i ultramikroskopy pozwalają na obserwację i badanie zjawisk niedostępnych bezpośrednio naszym zmysłom; przy pomocy ulepszanych ustawicznie lunet astronomicznych odkrywamy całe nowe światy tak bardzo od nas odległe.

Mieszkańca ziemi jednak od dawna nie tylko interesowało to wszystko, co się koło niego dzieje i zbadanie praw rządzących zachodzącymi zjawiskami i przemianami; stara się on odpowiedzieć i na pytanie, co było dawniej, kiedy powstał świat i jak rozwijało się na nim życie.

Jeszcze niewiele dawniej, jak przed trzystu laty prawie powszechnie panowało mniemanie, że świat został stworzony w r. 4004 przed Chr., a poważni uczeni prowadzili tylko, śmieszne dzisiaj dla nas, dyskusje, czy nastąpiło to na wiosnę czy w jesieni tego roku.

Następne jednak zdobycze wiedzy w różnych dziedzinach nie pozwoliły na utrzymanie tej daty, opartej na zbyt dosłownym tłumaczeniu Biblii, wiemy obecnie, że w tym czasie panowała w Egipcie już od setek lat cywilizacja.

Późniejsze badania kazały ten okres powstania ziemi i życia przesunąć do dziesiątków milionów lat, obecnie jednak wiemy, że skorupa ziemska ma przynajmniej półtora miliarda lat tj. ponad tysiąc milionów lat, a ziemia jako całość jest niewątpliwie znacznie starsza. Również i pierwsze ślady życia, które zachowały się, pochodzą sprzed setek milionów lat.

Inne były rośliny w tych odległych czasach, inaczej wyglądały i ówczesne zwierzęta, które w potocznej mowie często nazywamy „przedpotopowymi".

W różnych czasach dominowały rozmaite grupy zwierząt. Dokładna obserwacja zachowanych resztek i ich występowania, przekonała badaczy, że nie wszystkie gatunki powstały równocześnie.

Najpierw zjawiły się zwierzęta stojące na najniższym stopniu rozwoju, dopiero z biegiem tysięcy i milionów lat zjawiły się formy wyższe, coraz bardziej zbliżone do znanych i żyjących obecnie na ziemi. Jedne gatunki wymierały, inne występowały na ich miejsce, a czynnikiem, który o tym decydował, było przystosowanie się do warunków, które ulegały zmianom.

Początkowe formy zwierząt, które zjawiły się na ziemi, były drobnych rozmiarów, dopiero z biegiem długich okresów czasu możemy obserwować zjawienie się form większych, a wreszcie prawdziwych olbrzymów, wobec których stajemy zdumieni.

Niedawne to jeszcze czasy, kiedy kości wielkich zwierząt z ubiegłych epok uważano za kości ludzi-olbrzymów, którzy mieli żyć w czasach dawniejszych. Dopiero rozwój zoologii i anatomii pozwolił na stwierdzenie, że są to przedstawiciele takich samych lub zbliżonych przynajmniej do tych grup zwierząt, które żyją obecnie w różnych częściach świata. Od wielu lat wysyłano specjalne ekspedycje w te strony, gdzie znaleziono jakieś resztki kopalne. Żmudna nieraz i długotrwała praca czekała pracowników muzeów, którzy z zebranych, przeważnie pojedynczo znalezionych szczątków musieli rekonstruować całe szkielety wygasłych już obecnie zwierząt.

Z biegiem czasu udało się nie tylko powiązać poszczególne resztki kostne w pełne szkielety, ponad to z wielu szczegółów budowy ich ciała, jak i z samych znalezisk zaczęto odtwarzać sposoby życia zwierzęcia, które przed dziesiątkami czy nawet setkami milionów lat przebywało na tych obszarach, gdzie dzisiaj wznoszą się miasta czy wsie.

Po rybach i płazach, które z kręgowców pierwsze zjawiły się na naszym globie, nastąpiło pojawienie się olbrzymich gadów, które należą do tej samej grupy zwierząt co dzisiaj żyjące krokodyle i jaszczurki.

Najpospolitszymi wygasłymi gadami były Ichtiozaury, stanowiące pośrednie ogniwo pomiędzy rybami a jaszczurami. Były to olbrzymie zwierzęta dosięgające 10 metrów długości, o wydłużonym cienkim ogonie i czterech pletwach, służących do pływania. Wydłużony pysk, podobny do paszczy krokodyla, uzbrojony był w liczne ostre zęby, które stanowiły groźne niebezpieczeństwo dla ryb i innych mieszkańców ówczesnych mórz.

Innymi drapieżnymi morskimi gadami były Plezjozaury, których znamy już ponad 50 gatunków. Zbliżone trybem życia do Ichtiozaurów różniły się od nich budową ciała, a przede wszystkim długą szyją, która dochodziła do połowy długości całego ciała. Do spokrewnionej grupy gadów należy również i Mosasaurus, dochodzący do 20 m długości, a odznaczający się nadzwyczajną giętkością kręgosłupa, co niewątpliwie ułatwiało temu zwierzęciu szybkie ruchy w wodzie i chwytanie zdobyczy.

W ciągu długich tysiącleci rozwój prowadził do powstawania nowych gatunków o odmiennej budowie. Z Plezjozaurów rozwijały się gady o większych głowach, a krótszych szyjach, przypominające nieco dzisiejsze żółwie. Pojawiają się — obok mniejszych gatunków zwierząt — olbrzymy lądowe — Dinosaury, dosięgające dwudziestu pięciu metrów długości.

Jednymi z największych zwierząt, jakie kiedykolwiek zamieszkiwały naszą ziemię, były Brontozaury. Długością swego ciała przekraczały nieraz 25 m, waga zaś tego potwornego cielska wynosiła około 40 ton. Mimo swej olbrzymiej wielkości były to na ogół zwierzęta niegroźne dla otoczenia, pożywienie ich stanowiła roślinność bagienna. Przy tak dużym cielsku, posiadały one małą głowę i mózg słabo rozwinięty, co zapewne także zadecydo-

Dokończenie na stronie 8

Powyżej:
Slotasy i Tlyptodaktusy opancerzone. Zwierzęta te żyły w Południowej Ameryce.

Na prawo:

OLBRZYMIE CIELSKA NA SŁABYCH NOGACH!

...tak lekko jak kangur — skacze ten oto jaszczur Diplodocus — wbrew wszelkim prawom równowagi — po lądzie w czasie epoki kredowej. W ten sposób przedstawił jaszczura — na przełomie ostatniego stulecia pewien rysownik, w bardzo poczytnym dziele geologicznym. W rzeczywistości (według twierdzeń wiedeńskiego geologa Abla), jaszczury te żyły pod wodą i pasły się na podwodnych łąkach, pokrytych wodorostami; i tylko dla zaczerpnięcia powietrza wyciągały te kolosy swą długą szyję, trzymając chwilę nad wodą swą małą — do smoczej podobną — głowę; jak wskazuje rysunek poniżej na prawo.



Fot: Archiwum 6
Koralle 2



Powyżej:
Przed tysiącami lat żyły te Mastodony na lodowatych terenach Ameryki Północnej. Była to odmiana naszych słoni.

Poniżej:
Olbrzymi gad morski Mosazaurus, rzuca się na żółwia, w powietrzu unoszą się Pterodaktylusy.





Na naszej ilustracji widzimy (na prawo i na lewo) różne odmiany Dinosaurusów. Na przednim planie widoczny Dinosaurus opancerzony.



POTWORY

Powyżej:
Jaszczury sprzed 200 milionów lat. Charakterystyczną cechą jaszczurów z podokresu permskiego są ogromne kościste tarcze na grzbiecie. W tym czasie żyły dwie odmiany jaszczurów z tarczami. Dimetrodony (na rycinie na prawo) posiadały w paszczy rząd bardzo ostrych zębów i należały do zwierząt mięsożernych. Na rycinie w środku jaszczur Naosaurus, bardzo zbliżony wyglądem do Dimetrodonów, żywił się jednak roślinami.

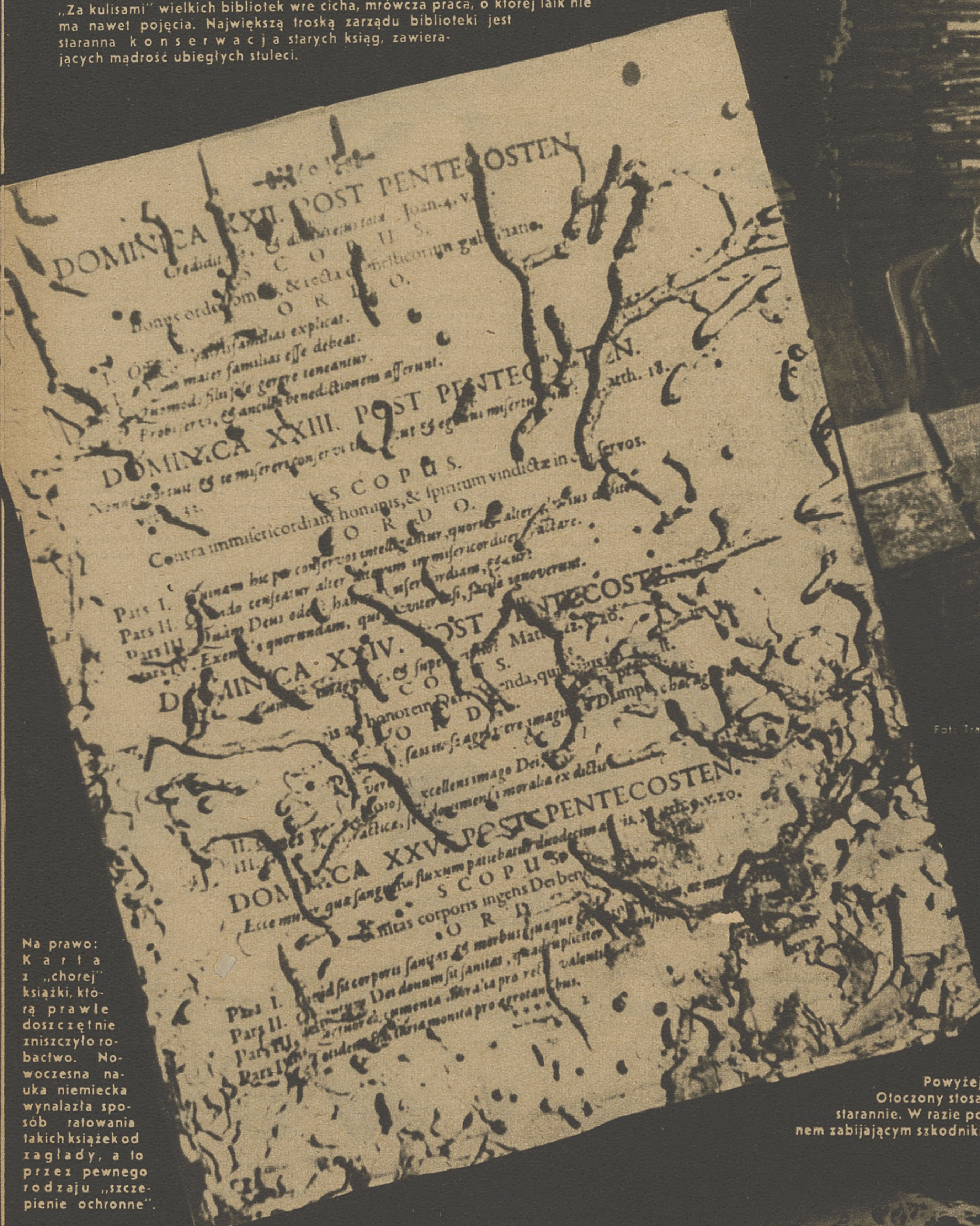


Poniżej:
Jeden z największych jaszczurów przedpotopowych Brontozaurus, który swoim kształtem przypomina smoka. Potwór ten posiadał 25 metrów długości.

Szczepienie książek

NAUKA RATUJE SKARBY BIBLIOTEK

„Za kulisami" wielkich bibliotek wre cicha, mrówcza praca, o której laik nie ma nawet pojęcia. Największą troską zarządu biblioteki jest staranna k o n s e r w a c j a starych ksiąg, zawierających mądrość ubiegłych stuleci.


DOMINICA XXII. POST PENTECOSTEN.

DOMINICA XXIII. POST PENTECOSTEN.

S C O P U S.

O R D O.

DOMINICA XXIV. POST PENTECOSTEN.

DOMINICA XXV. POST PENTECOSTEN.

S C O P U S.

Na prawo: Karta z „chorej" książki, którą prawie doszczętnie zniszczyło robactwo. Nowoczesna nauka niemiecka wynalazła sposób ratowania takich książek od zagłady, a to przez pewnego rodzaju „szczepienie ochronne".

Fot. Transozean.



Powyżej i w kole:
Otoczony stosami książek, siedzi konserwator i bada każdą z osobna bardzo starannie. W razie potrzeby spryskuje uszkodzone przez mole i czerwie karty, płynem zabijającym szkodniki.



Powyżej:
W pracowni Państwowej Biblioteki w Lublinie siedzą bibliotekarki i zajmują się porządkowaniem i katalogowaniem nowonabytych książek. Tylko dokładna rejestracja wszystkich książek umożliwia szybkie znalezienie w razie potrzeby każdej z nich.



Na prawo:
Starą, drukowaną w języku łacińskim książkę, toczoną od dziesiątek lat przez robactwo, ratuje się od całkowitego zniszczenia „szczepiąc" i skrapiając płynem zabijającym robactwo. Każdą niemal kartkę musi się dokładnie przeglądnąć o ile konserwacja ma być skuteczna.

Uśmiech Rity

Rita uchyliła okienko:
— Proszę?

Wysoka pani pochyliła się nisko — jej usta leżały wprost na uśmiechu Rity.

— Czy mogłabym, proszę pani zamówić międzymiastową?...

— W tej chwili.

Palce Rity skoczyły na szare guziki aparatu. Drewniana skrzynka zagrała iskrową melodie dzwonków i świateł. Zagasło zielone światełko, ale palce Rity naciśnięciem maleńkich bakalitowych klameczek otwierały pozostałe żółte oka lampek. Na warstwie jej uśmiechu zakwitały czarodziejskie dla czekających ludzi nazwy dalekich miast. Nerwowe dłonie wypadły za ramy rozsuwanego okienka, a nierówny, lekko zarywany głos rozsypywał te dary suchymi cyframi.

— Tarnów 1600!

— Warszawa 198080!

— Myślenice 32!

Każdy zamykał swoją radosną nowinę lub trwożne wyczekiwanie w malutkiej kabinie.

Ręce Rity jak duże, zmęczone motyle leżały na kratkowanej liście zgłoszeń, a jej głos spływał znowu mile i zachęcająco:

— Więc proszę?

Wysoka pani zamówiła rozmowę — Zakopane. Tak, o tej porze: zima i śnieg, najpewniej go chyba tam zastanie. Pomyślała:

— Ta młoda dziewczyna jest bardzo miła.

Siadła obok na twardym, prostym stołku. Drzwi kabin otwierały się i zamykały co chwilę, z rzadkimi przerwami. Pani zauważyła, że każdy brał uśmiech dziewczyny dla siebie — i każdemu zdawało się, że ona uśmiecha się wyłącznie do niego. Nie było w tym cienia kokieterii i może dlatego, to uczucie prześwietlało wszystkich prostą wiarą w cudowną mądrość jej nerwowych palców. Czy była ładna? Chyba nie. Ale bardzo charakterystyczna swą rzadką el Greco'wską urodą. Wyraźnie rysowały się w jej twarzy te dwa pierwiastki: ascetycznej, średniowiecznej surowości rysów i mądrej, wystudiowanej łagodności uśmiechu. Wszystko, czymkolwiek razić mogła wytworna obcość zakrzepłych wieków, tuszowało wilgotne lśnienie spokojnych oczu i ten trochę dziecinny, trochę drażniący uśmiech na pełnych wargach.

— Nie bardzo chyba jest szczęśliwa — wysoka pani uparcie studiowała twarz Rity. — Ale bardzo odważna, skoro nauczyła się tak trudnego pozowania. Ciekawam, dla kogo nauczyła się tego uśmiechu. Nim może zdobyć pół świata.

Z namysłem powtórzyła cichutko:

— Cały świat.

Na próżno starała się powiązać spłoszone własnymi wspomnieniami myśli o bladej dziewczynie. Już wszystko stłoczyło się w twardą i ciężką modlitwę o powrót Henryka, o jego usta, o jego ciało, o wszystko, co tworzyło jego obraz, nawet o śnieg i o góry, nawet o zapchane bibliotecznymi szafami stare, zatęchłe pokoje.

Rita na złociutkich wężykach uśmiechu podała jej białe, ośnieżone Zakopane. Wysoka pani zamknęła je szybko w dyskretnej kabinie.

Aparat Rity kokietował ją bez przerwy zielonymi, to znów żółtymi lampkami okrągłych oczodołów. Palce Rity wybijały jakąś bardzo niemelodyjną muzykę na twardych i równych guzach ścianki. Czasem wycinała całe rozdziały tajemnic, urywki miłości i flirtu, odrywała strzępki handlowych układów — dla siebie. Próbowała wierzyć, że wszyscy ci ludzie przychodzą dla niej — i chciała wierzyć, że kiedyś jedna rozmowa będzie jej poświęcona, że będzie mogła zgłosić się tą nieurzędową nazwą:

— Tu Rita, dzień dobry.

Nacisnęła środkową wtyczkę.

— ...Henryk. Przed ośmiu jeszcze laty spędzał tam zimę.

— Pamiętam, proszę pani. Ale wtedy był już u nas po raz ostatni. O ile mnie pamięć nie myli, widziałam go w rok później na Kalatówkach. Ale to mogło być i poprzedniego roku. Tyle czasu! Tyle ludzi przesuwa się przez hotele...

— Tak, naturalnie, dziękuję pani i przepraszam.

Pani zbliżyła się do okienka. Kamienna maska jej twarzy nie wyrażała nic.

— Zmuszona jestem zamówić jedną jeszcze rozmowę.

Rita delikatnie zgarniała papierowe złotówki. Wąziutka złota wstążeczka opinała jeden z jej palców.

— Mężatka? Taka młodziutka? — zdziwiła się znowu pani. Nieswoim głosem wyrzekła:

— Nie załatwiłam nic.

Telefonistka uniosła powieki — na dnie jej oczu leżały całe mroki średniowiecza.

— Czy to coś bardzo przykrego? I... — leciutko się zawahała — czy nie mogłabym pani pomóc?

Pani nie zdolna była w tej chwili do jakiejkolwiek innej myśli poza tą, że jeżeli natychmiast stąd nie odejdzie, rozpłacze się niczym małe dziecko. Ta młoda dziewczyna — czy kobieta całą słodycz swej przedziwnej twarzy jej dała — jej jednej, chociaż wszyscy, którzy tu byli wyciągali otwarte, chciwe dłonie po jej uśmiech. Ale ona darowała go tylko jej, jej jednej.

— Wrócę!...

Wyszła prędko z urzędu i zaraz wtopiła się w mrok dużej i pustej cukierni.

— Coś bardzo gorącego do napicia proszę.

Widziała przez matowe szkło okna, jak ludzie zgarniali w rozwidlone dłonie rozsypane na wietrze peleryny i płaszcze. Ten widok wydał jej się tak okrutny, że szybko zasunęła muślinową firaneczkę.

— Nie ma na świecie rzeczy dosadniej symbolizującej ubóstwo jak ręce człowieka wyciągnięte przed siebie: te ręce wciąż głodne chleba i miłości, gotowe w ich imieniu każdej chwili błogosławić i każdej chwili zabić.

Poparzyła wargi i podniebienie — paliło ją w przełyku, ale była już spokojniejsza, chociaż smutek omotał ją tak gęstym woalem, że już nie wierzyła w możliwość odsunięcia go od siebie. W tej chwili, gdyby nawet powiedział jej ktoś, że Henryk jest tu, o krok, o spojrzenie, że widzenie go od niej tylko zależy, gdyby nawet powiedziano jej, że on ją kocha, i że pragnie jej widoku — nie przebiłoby to warstwy smutku, która ją motała.

Wróciła do domu.

Ale nazajutrz Rita na bladych smużkach wsiąkającego oknem słońca haftowała od nowa życie Henryka.

Więc najpierw i przede wszystkim mieszkanie jego rodziców: Warszawa. Niestety: w malutką kabinkę ktoś obcy wtłaczał jak młotem drgające i złe słowa: pomyłka. Palce Rity trzęsły na prośbę pani czarną bakalitową klameczkę. Numer nastawiono raz jeszcze: okazało się, że był to ten, co poprzednio i pokrywał się z żądanym. Maleńkie sprostowanie: abonent ma aparat od czterech lat zaledwie, numer został przepisany z telefonu, którego właściciel już nie żyje.

Pani zdobyła się wobec Rity na uśmiech:

— Wobec tego proszę panią o numer

Rita zapisała.

Płaska i ostra jak sztylet wskazówka zegara przekreślała nieubłaganie minuty i godziny. Czas rósł trwogą, pęczniał nadzieją, kulił się od nagłych przywidzeń i schodził apatią w nicość.

— Warszawa!

Pani spytała szybko.

— Czy to muzeum ...skiego?

Ale Rita nie słuchała. Maleńki człowieczek stał przy okienku. Wyrzucał z siebie szybko i niezdarnie: że go okradziono w pociągu, że mu poradzono telefonować szybko do ostatniej stacji kolejowej, że... czy to się da zrobić, jak trzeba się zachować, bo on jeszcze nigdy nie telefonował i czy może panienka... On nie śmie prosić, ale może, ...może panienka tam powie co trzeba?...

Pani poprosiła głosem możliwie naturalnym o spis abonentów warszawskich. Miała już tylko jedno życzenie: by nie pominąć żadnego ze znajomych Henryka, żadnego biura, żadnego zakładu, z którymi miał styczność. By nie zapomnieć, że teraz jest zima, a plan życia Henryka był zależnie od pory roku bardzo rozmaity. By nie przeoczyć najdrobniejszego bodaj śladu, najmniejszej wzmianki o miejscu jego pobytu!

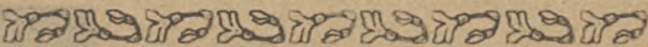
Dni szły długie i zimowe, odmierzane tym coraz bardziej drażniącym czekaniem.

Któregoś dnia wreszcie...

Z rozpalonej słuchawki wycinał ktoś długie i równe pasma słów, że trzeba z tym zwrócić się do jego przyjaciela — z nim Henryk na pewno nie stracił kontaktu, a może nawet mieszkają razem?

Była to zakazana wieś o dziesiątek kilometrów oddalona od kolei i poczty. Wysłała list. Telegrafowała. Nie było odpowiedzi. Wreszcie Rita obiecała wyczarować rozmowę telefoniczną. Naturalnie nie dzisiaj.

Pani odeszła po raz pierwszy z zupełną niewiarą w ręce Rity — ale żart trzeba było konsekwentnie zakończyć. Żeby



ZAPÓŹNO

Czasu dłonią nie schwycisz — kroplami przez palce przecieka.
Dlaczegoś tak się pospieszył? Czemuś na mnie nie czekał?

W zgiełkliwym hallu dworcowym, w tysiącu obcych twarzy,
Odnaleźliśmy siebie — wcielenie młodzieńczych marzeń.

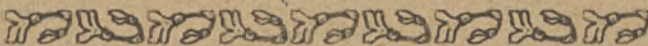
I lecą dusze ku sobie, i słychać dwojga serc bicie...
Nie zaprę się, że z tobą mogłabym iść przez życie.

Nie jestem zbytnio pochopna, tak jak ty skłonna do zwierzeń.
Lecz powiem ci, że z tobą mogłabym w szczęście uwierzyć.

Cóż z tego, że patrzysz na mnie rozkochanymi oczyma?..
Nie schwycisz czasu dłonią, ni w biegu nie zatrzymasz.

Krótko trwa pożegnanie. Odchodzą już nasze pociągi.
W silnym uścisku dłoni śmiertelny ból rozłąki.

Zofia Gieralt



było czym chłostać żal i rozpacz, jeśli odważą się wrócić.

Tak Rita poznała całe jej życie i — jego życie. Na ostrych i twardych rysach el Greco'wskiej piękności chwiał się niepewny, przybłąkany z najgłębszej podświadomości uśmiech. Wiedziała wszystko. Od dawna już zrozumiała. Ale kim jest ta pani właściwie? I jak, jak ukryć Henryka — męża Rity? Lub może powiedzieć jej prawdę? Czas biegł szybciej od życia — od myśli. A może po prostu powiedzieć to Henrykowi?

Stanęła przed nim zatroskana i niepewna. Nie kochał jej. Był zawsze jednakowo uprzejmy, cierpliwy — nieobecny.

— Czy chciałaś mi Rito co powiedzieć?

— Nie... to znaczy... ale to nie ma znaczenia...

— Dlaczego? Wszystko, cokolwiek mówisz ma dla mnie znaczenie. Chyba, że pragniesz, by to zostało przy tobie.

— Tak... — Rita uśmiechnęła się jasno i prosto. W ten sposób ułatwia jej zawsze odwrót — jej, ale i sobie. Szybko zagasiła płomyk złości. Teraz powie mu. Musi to powiedzieć. Henryk ją kochał kiedyś i jeszcze teraz na pewno... To było zaledwie osiem lat temu. Cokolwiek zaszło między nimi, ta pani chce to naprawić. I Henryk, Henryk nie zapomniał!...

Zamknęła cichutko drzwi. Nie teraz! Pomyśleć, że zostałaby sama — na zawsze.

Noc sypnęła garścią majaków: Zakopane — Warszawa — płacz Henryka — wycięty diamentem w szkle sztylet — wysoka pani plująca w śmiechu zębami.

Dzień podniósł się z śniegu sztywny i przejrzysty. I było wszystko jak codziennie: uprzejme pożegnanie Henryka u zbiegu ulic, porównanie czasu na zegarkach, dzwonki przy telefonie, zielone i żółte błyski w oprawie metalowych rzęs.

Był wieczór. Ostatni ludzie już odeszli i pozamykano pozostałe okienka. Została sama na nocny dyżur. Pani zwróciła się do Rity:

— Po raz ostatni już nudzę dzisiaj panią. Chciałam odnaleźć pewnego człowieka i to mi się nie udało. Ale to głupstwo.

— Na miłość Boską, niech mi pani powie.

Rita widziała że jej ręka rysująca bezwiednie po ramie okienka, leciutko drżała. Pani powiedziała nagle:

— Jest jeszcze trochę czasu do terminu rozmowy. Zresztą tam nie ma bezpośredniej linii i na pewno potrwa to dłużej. Wrócę za chwilę.

Rita siedziała nieruchomo. Co trzeba robić? Czy Zygmunt poda adres Henryka? Czy może powiedzieć od razu tej pani, że cały plan awizowanej rozmowy nie udał się... że na przykład za wielka odległość urzędu telefonicznego od wsi, lub, że jest uszkodzenie na linii, albo że... Pani nie będzie prawdopodobnie zbytnio nalegała.

W tej chwili aparat zaczął mówić. Pani wciąż jeszcze nie było. Bez jednej myśli podniosła słuchawkę.

— Hallo, proszę.

Drewniana skrzynka przed nią zamieniła się w usta i uszy żywego człowieka. I nagle Rita wpadła na szalony pomysł, by samej przeprowadzić rozmowę — po prostu podać się za tamtą kobietę.

— Zygmunt?

— Tak, proszę, kto mówi?

— Tu... Dzień dobry, Zygmunt! Tu... Maria.

— Hallo, proszę. Kto?

— Maria.

Chwila ciszy. I bardzo niski, zdławiony głos:

— Maryla???

— Tak.

Cisza.

— Maryla? Ty?

Delikatne brzęczenie i znowu ten sam, już spokojny głos zmęczonego człowieka.

— Po co znowu wracasz? Co chcesz?

Trzeba coś mówić — coś prędko powiedzieć. Ręce Rity cisną rozparzoną słuchawkę do uszu. Więc drobi szybko, przestraszona i niepewna.

— Czy możesz mi podać adres Henryka?

— Henryka? Nie, Maryla, ty chyba pomyliłaś się. Dzisiaj ty pytasz, gdzie jest Henryk? A cóż cię to obchodzi? Czy sądzisz, że miłość można odrobić? Czy nie pomyślałaś nigdy, że osiem lat to długi czas? I że tak dużo jest ludzi na świecie? A zresztą... Żona Henryka miała z pewnością większe szanse od ciebie, a przecież...

— Czy on jej nie kocha? Dlaczego? Ja go zawsze kochałam... To jest niesprawiedliwie... Och powiedz, Zygmunt, że nie jest jeszcze zapóźno, że on tylko mnie, mnie jedną!...

Rita zatraciła napół poczucie rzeczywistości. Płaskimi wzgórzami jej myśli pełzał strach, by nie wypaść ze swej roli — ale równocześnie każda z tych myśli pęczniała jak wulkan od wnętrza innym strachem; że nigdy jej wątłe dłonie nie rozerwą opony zarastającej serce Henryka. — Odłożyła słuchawkę. Tyle lat jeszcze ma przed sobą. A wszystkie będą podobne do siebie, każdy rok i każda godzina:

— Dzień dobry, Rito!

— Dzień dobry, Henryku!

— Czy dobrze spałaś?

— Tak, dziękuję.

— Czy chciałaś może co powiedzieć?

— Nie... to znaczy... tak... ale to nie ma znaczenia...

— Dlaczego? Wszystko, cokolwiek mówisz ma dla mnie znaczenie. Chyba, że chcesz, by to zostało przy tobie.

Podniosła bezwiednie słuchawkę. Może chciała po prostu zapytać centralę o opłaty? Ale zapomniała, że jej interlokutor wciąż jeszcze był włączony.

— ...a może już zapomniałaś? Białe góry i te ogromne sine wały nieba — i śnieg zamiast powietrza, słońca i wiatru. Powiedziałaś, że śnieg jest biały. To nie prawda. Gdybyś mogła być teraz w górach, ujrzałabyś, że jest szafirowy. Że ma tę najgłębszą zimną barwę niebieskiej pustoty.

— O czym on mówi?

Rita uczuła przenikające ją szafirowe zimno. Przestała rozumieć.

— Ty prosisz o jego adres, Maryla? A pamiętasz, jak Henryk tam w górach, na nartach mówił ci o swojej miłości? I jak ty mu odpowiedziałaś?

Maleńkie dzwoneczki rozsypały się w mikrofonie czarnej słuchawki. Próbowała je zebrać bladymi wargami, ale przebiegły przez twarz, skronie i pogubiły się w oszalałej trwodze. Tak nie śmiał się człowiek. Rita wołała na próżno swoje niemądre: hallo.

Jedyną odpowiedzią był obojętny głos telefonistki:

— Skończono?

Więc odpowiedziała:

— Tak.

Nie zapomniała nawet zapytać o koszta w momencie, gdy już miała odłożyć słuchawkę, wysoka pani przesłoniła okienko. Rita właściwie nie myślała o tym, co powie i co zrobi. Cały plan wyrastał na jej wymazanych z uśmiechu wargach.

— Proszę wejść do kabiny. W tej chwili właśnie zgłosiła mi centrala rozmowę.

Przeczekała kilkanaście sekund i przełączyła kabinę, nie wyłączając swego aparatu. Mówiła spokojnie i jasno.

— Zygmunt jest chory, więc ja domyślając się, że chodzi o rzecz ważną postanowiłam go wyręczyć. Pani mnie sobie przypomina, pani Marylu: Zofia, siostra Zygmun[illegible]

— Tak, naturalnie. Przykro mi, że dla drob[illegible] [illegible]araziłam panią na tyle niewygód. Chodzi mi po p[illegible] adres Henryka. Wśród wielu znajomych jego i swoich rooiłam starania i wszystko na próżno. Myślę jednak, że państwo, a głównie Zygmunt, jedyny przyjaciel Henryka pozostaje z nim nadal w kontakcie i że tu najpewniej czegoś się dowiem.

— Hm, tak, proszę pani. Jeszcze dwa lata temu... Przed dwoma laty...

Rita krztusiła się własną podłością. Nie wypowie tego. Uczuła zabobonny strach, by to kłamstwo nie zemściło się na niej.

— Czy stało się co złego?

— Henryk nie żyje. — Umarł — poprawiła szybko, jakby w obawie, że może być źle zrozumiana.

— Aha... więc...

Rita powtórnie poczuła szafirowe zimno w piersiach. Słuchawka potoczyła się po stole. Położyła na nią głowę, płacząc cichutko. Nie wiedziała nawet, że płacze. Roztarła dłonią policzki, dziwiąc się, że są mokre.

— Ach, to łzy!...

Wysoka pani dotknęła jej ramienia:

— Ale on żyje?

Rita podniosła oczy:

— Tak.

Pani powiedziała bardzo łagodnie i miękko:

— To głupstwo, Rita. Bywały większe tragedie. A myśmy rzeczywiście już umarli — dla siebie. Osiem lat temu! Pomyśl: za osiem lat będziesz już starą mężatką. To dużo czasu! Nie płacz, nie warto kochanie.

Ale Rita widziała, jak jej kształtna ręka w wężowej skórze drżała.

POTWORY PRZEDPOTOPOWE

Dokończenie

wało, że w walce o byt musiały ustąpić innym grupom zwierząt.

Również zwierzętami roślinożernymi były Stegozaury, budową swą podobne już nieco do ssaków, a zwłaszcza do dzisiejszych luskowców.

Były to zwierzęta przewyższające swą wielkością dzisiejszego słonia; na grzbiecie posiadały szereg wielkich tarcz kostnych, tworzących wielki grzebień.

Obok tych olbrzymich przedstawicieli gromady gadów, które były zwierzętami roślinożernymi, żyły i gady mięsożerne, które w niedługim czasie wytępiły te bezbronne olbrzymy.

Z tych drapieżnych gadów za najgroźniejszego uchodził Tyrannozaurus. Zwierzę to ...odziło na tylnich nogach, opierając się ...raz i na długim ogonie.

...Do chwytania zdobyczy służyły mu przed... odnóża, zaopatrzone w groźne zakrzy...one pazury, którymi rozszarpywał napad...ętą zdobycz.

Prócz gadów wodnych i lądowych poja...ły się i gady latające w powietrzu. Jed...m z takich był Pterodaktylus, o wydłu...nej głowie i uzębionych szczękach. Były ... pierwsze latające kręgowce, po których ...piero później miały pojawić się pierwsze ...aki kopalne.

Wszystkie te opisane zwierzęta żyły w e...kach geologicznych odległych od naszej ...y o 100—150 milionów lat. Doszedłszy do ...jwyższego rozwoju w okresach nazwanych ...zez geologów jurajskim i kredowym uległy ...stępnie losowi wielu innych dawniej żyją...ch grup zwierzęcych, wymierając i ustępując nowym formom, które okazały się lepiej przystosowanymi do zmienionych warunków życia.

II. Najnowsze rozważania.

Dlaczego, olbrzymich rozmiarów wieloryb, zapędzony przez poławiaczy w wąską i płytką cieśninę, ratuje się ucieczką na ląd; gdzie następnie nie mając możliwości pływania — marnie ginie?

Jak to — zdziwicie się zapewne — czyż wieloryb jest rybą, żeby wyrzucony na ląd ginął z braku powietrza? Przecież wieloryb jest potworem oddychającym powietrzem, jak wszystkie zwierzęta lądowe, więc dlaczego miałby ginąć na lądzie?

Jest rzeczą zrozumiałą i jasną, że delfiny i foki, które dostały się w sieci rybackie, zastawione pod wodą i nie mogąc się z nich wydostać, duszą się, jako zwierzęta oddychające płucami.

Dlaczego jednak te olbrzymie wieloryby, muszą wyzionąć ducha na lądzie, tej praojczyźnie wszystkich ssaków? Otóż wieloryb ginie, jak gdyby uduszony ciężarem własnego ciała! Jego własna olbrzymia waga skraca mu życie na lądzie!

Podobnie jak drzewa nie mogą rosnąć w górę aż do nieba, tak wszystko co żyje ma granice swego rozwoju. Prawo to stosuje się także i do ciał martwych. Już Archimedes wypowiedział znaną i zuchwałą hipotezę: — „Dajcie mi punkt oparcia, a poruszę ziemię!" Oczywiście, że miał on na myśli dźwignię o olbrzymiej długości ramieniu.

Jednak dźwignia o tak olbrzymich rozmiarach, które wystarczyłyby do podważenia ziemi, musiałaby niewątpliwie złamać się od własnego ciężaru.

Życie organiczne jednak ginie znacznie wcześniej. Ogrom ciała wieloryba, tak silnie uciska wnętrzności, że wprost je zmiażdża. Więc wieloryb nawet na czterech nogach, większych od nóg słonia, nie mógłby żyć na lądzie, a tylko i li tylko we wodzie, która podtrzymuje ciało, nie tylko z dołu lecz ze wszystkich stron, mogą żyć nasze zwierzęta o wadze wielorybów.

Wiemy przecież, że w okresie jurajskim i kredowym żyły olbrzymie jaszczury i włokły swe potworne cielska na czterech a niekiedy tylko na dwóch nogach. Czyżby więc dotychczasowe twierdzenia geologów mogły być obalone tym faktem, że z powodu swego nadmiernego ciężaru, olbrzymie potwory przedpotopowe nie mogły żyć na lądzie?

Wcale nie; gdyż jaszczury nie należały — jak się ogólnie przyjęło — do największych zwierząt żyjących na ziemi. Największym jest raczej jeszcze obecnie żyjący płetwowy wieloryb norweski, o wadze 3000 cetnarów, a dochodzący do 31 metrów długości.

Przedpotopowy Brontosaurus dochodził zaledwie do 25 metrów długości. Dłuższym od niego był jaszczur Diplodocus, którego długość wynosiła 28 metrów. Największym jednak był Brauchiozaurus, który swą małą głowę mógł podnosić na wysokość 12 metrów. Na ulicy stojąc, mógłby Brauchiozaurus zaglądnąć do okna mieszkania znajdującego się na 3-cim piętrze. Szkielet takiego potężnego jaszczura znaleziono w Niemieckiej Afryce Wschodniej, i obecnie znajduje się on w całej swej okazałości w Berlińskim Muzeum Przyrodniczym.

Jednak mimo, iż były mniejsze od wieloryba, jaszczury te nie mogły być zwierzętami lądowymi. Niektórzy uczeni uważają za niemożliwe, aby stosunkowo nieduże nogi, mogły utrzymać potworne cielska jaszczurów. Na podstawie znalezionych szkieletów odtworzono jaszczura, z nogami podobnymi do krokodylich i brzuchem wlekącym po piasku; jednak skonstruowany w ten sposób jaszczur nie odpowiadał zasadom anatomii dotyczącej reszty ciała.

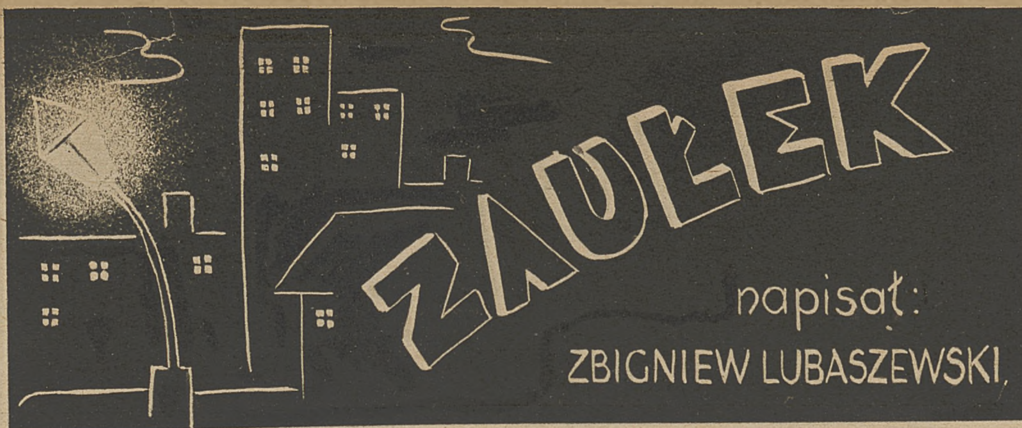
Wszystkie te trudności i wątpliwości wyjaśnia najnowsza teoria, wiedeńskiego paleontologa O. Abla, który twierdzi, że przedpotopowe jaszczury żyły — podobnie jak dzisiejsze hipopotamy — we wodzie. Przebywały w płytkich zatokach, żywiąc się wodorostami pokrywającymi dno morskie; i tylko dla zaczerpnięcia, niezbędnego do życia powietrza, wyciągały swe cienkie szyje do góry i małą głowę nad powierzchnię wody. Abel więc utrzymuje, że te olbrzymie jaszczury żyły we wodzie i tylko niekiedy wychodziły na ląd, aby złożyć jajka lub pogrzać się na słońcu.

Teoria ta wyjaśnia poniekąd żywot jaszczura zgodnie z prawami fizyki, przy czym budowa anatomiczna potwierdza ten pogląd, gdyż nawet otwory oddechowe są umieszczone na głowie u góry, podobnie jak u wszystkich ssaków żyjących w wodzie. Również i niezwykle długa szyja znajduje teraz swe uzasadnienie.

W końcu nadmienić należy, że O. Abel swoją teorią burzy — poniekąd — zaczarowany świat naszych bajek i legend — oparty na wspomnieniach najstarszych ludzi, którzy widzieli jaszczurów i smoków, przed wiekami. Według Abla, jaszczury dożyły czasu pojawienia się pierwszych małych zwierząt ssących, z których później powstały hipopotamy, słonie i ludzie.

Okres kredowy trwał dwadzieścia milionów lat. Okres, w którym już nie było jaszczurów, trwał 60 milionów lat. A dopiero przed milionem lat w okresie dyluwialnym powstał praczłowiek. Nasi przodkowie wobec tego w żadnym wypadku nie mogli pamiętać owych jaszczurów.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900



A było to tak.

Marysia postanowiła ozstać poetką. Zabrała się więc gorliwie do pracy. Systematycznie, z iście kobiecym uporem psuła niezliczone ilości papieru wypacając nań swe grafomańskie zdolności. Nawet ogólny brak papieru nie potrafił zahamować jej poetycznych popędów, przeciwnie, nawet je zaostrzył. Poza poezją nie widziała nic. Świat dla niej przestał istnieć. Spod pióra jej wylatywały coraz to nowe i nowe zagryzmolone karteczki z szumnymi tytułami.

Ale to wszystko nie byłoby jeszcze takie straszne, gdyby zajmowała się tym rzemiosłem sama. Niestety. Zaczęła wymagać od otoczenia zainteresowania się poezją i literaturą. Biada temu, kto nie ma inklinacji do pióra.

Oczywiście na pierwszy ogień poszedłem ja. Ja, który jestem prawie analfabetą i nie wiem, czy kochać pisze się przez „ch", czy przez „h", czy pisze się wchód, czy fhut, no w ogóle nie umiem pisać. Nic mi to jednak nie pomogło. Marysia jest kobietą bardzo przedsiębiorczą i lubi zawsze postawić na swoim.

— Musisz i już — przy czym to „już" jest zaakcentowane tupnięciem nóżki.

Chcąc nie chcąc zabrałem się do studiowania pisowni i podstawowych wiadomości z literatury. Co przy tym przechodziłem, to wiem tylko ja i właścicielka kiosku nad Dunajcem, u której kupowałem papierosy.

Pewnego razu Marysia oświadczyła mi poważnym i stanowczym głosem:

— Słuchaj, jesteś już na tyle dorosły, że powinieneś się zabrać do pracy twórczej i brać udział w ogólnym życiu literackim. Zapisałam cię do utworzonego przeze mnie kółka literackiego. (Tu wymieniła mi kilka nazwisk, których nie pamiętam, bo cierpię na chroniczny zanik pamięci, np. gdy idę, zapominam zawsze jedną nogę w tyle).

— Będziemy współpracować razem — ciągnęła dalej Marysia, niezrażona moim idiotycznym wyrazem twarzy — pierwszym wspólnym tematem będzie „Zaułek". Zrozumiałeś? Do końca listopada masz napisać utwór, a ja już resztę załatwię.

Skończyła, a we mnie jakby „piorun" trzasnął z jasnego nieba. Ja mam pisać? Próbowałem oponować, że to niby bez porozumienia się ze mną zapisała mnie do jakiegoś tam kółka, (które w mej wyobraźni przybrało wymiary koła i to zębatego), że nie jestem jeszcze dość mocny w pisaniu itp., itp. Nic nie pomogło.

— Spróbuj mnie nie słuchać, to pożałujesz. — Taką straszną groźbą zostałem pokonany, (jak zwykle zresztą).

— Pamiętaj, 30 listopada masz być gotów, temat „Zaułek", do widzenia.

Drzwi zamknęły się za nią powoli, a mnie się zdawało, że zamieniłem się w sztubaka, któremu nauczycielka zadała wypracowanie ponad siły.

Ogarnęły mnie gorzkie wspomnienia lat cielęcych. Lufy, klasówki, egzaminy i wiele innych okropności szkolnego życia. Tyle zmagań z wiedzą i oświatą, która raczej ociemniała niż oświecała młode pały. Ale przeszedłem tę Golgotę mniej więcej szczęśliwie i ledwo wyjrzałem na świat Boży, już położono na mnie łapkę.

— Pisz „Zaułek".

Pisać to ostatecznie, posługując się podręcznikiem ortografii, pół biedy, ale co i jak pisać? To pytanie. Biedziłem się i myślałem wśród bezsennych nocy. Za czasów szkolnych, gdy belfer podawał temat na klasówkę, to go najpierw dokładnie omówił, potem klasa układała dyspozycje i jakoś to szło, ale dziś? Temat goły, jak panna w wannie. Tym się jeno od niej różni, że nie ma głowy ani kończyn, a u panny to jest wszystko z detalami. Gdyby tak kazano mi pisać o pannie, tobym wiedział od czego zacząć i na czym skończyć, ale z tym przeklętym „Zaułkiem" to ani rusz.

Skąd ja mogę wiedzieć, co to jest za zaułek? Co miała Marysia na myśli? Słyszałem nieraz to słowo, ale dokładnie nie wiem, co ono oznacza. Jeden z moich kolegów chwalił się kiedyś przede mną, iż posiada encyklopedię, z której można się wszystkiego, co się tylko chce, dowiedzieć. Udałem się przeto do niego z prośbą o pożyczenie.

— Ależ bardzo chętnie — zgadza się kolega — jeśli tylko potrafisz unieść.

— Jak to? — zdziwiłem się — czy to jest taka ciężka maszyna?

— Człowieku, to nie jest żadna maszyna, to jest dzieło w 24 tomach.

To mówiąc zaprowadził mnie do swej biblioteki i pokazał szereg oprawnych w skórę ksiąg ogromnych rozmiarów, a z grzbietów ich, o zgrozo, uśmiechały się do mnie szyderczo duże złote litery A B C . . .

— Możesz sobie wziąć — rzecze przyjaciel — tu znajdziesz wszystko.

Zbladłem. Świat zakręcił mi się pod nogami. Przeczytać tyle książek, aby się dowiedzieć, co to jest zaułek, to ponad moje siły. Ku wielkiemu zdziwieniu kolegi porwałem kapelusz i jak ścigany złodziej zacząłem uciekać.

— Gdzie pędzisz wariacie?! — usłyszałem za sobą wołanie kolegi, lecz byłem już daleko.

Po kilku minutach zwolniłem nieco biegu, gdyż tchu mi zabrakło. W smutnym nastroju postanowiłem udać się do Marysi po wyjaśnienie. Któż mi pomoże, jak nie ona? Kto lepiej od niej zna moją biedną duszę?

— W tobie dziewczyno, moje ocalenie w tobie jednej. — Tak myśląc, pełen nadziei znalazłem się przed jej obliczem. Lecz jakże się pomyliłem. Zamiast pomocy i wyjaśnienia usłyszałem, że jestem skończony matoł, i że jak na termin nie przyniosę jej utworu, to wszystko między nami skończone.

W beznadziejnej rozpaczy wyszedłem na ulicę. Zapadał zmrok. Chodziłem długo po mieście, aż straciłem zupełnie orientację miejsca i czasu. Nie zwracałem uwagi na to, co się dzieje koło mnie. Zresztą, co wtenczas mogła mnie obchodzić godzina policyjna, czy nawet kolacja, która z pewnością wystygła? W głowie czułem straszny ból i zamęt. Zrozumiałem, że od tego „Zaułka" zależeć będzie moja przyszłość, moje szczęście.

— Co to jest zaułek? — to pytanie wierciło mi w mózgu okropną dziurę. Czułem, że gdybym znalazł odpowiedź na to pytanie, potrafiłbym napisać na cześć zaułka tak wzniosły i potężny hymn, iż na pewno świat uznałby mnie za największego geniusza od początku świata. I w swej zręknanej wyobraźni widziałem się odbierającego hołdy wszystkich narodów, widziałem zadowolenie i dumę Marysi ze mnie i słyszałem niemal jej głos:

— To wszystko mnie zawdzięczasz, gdyby nie ja, nicby z ciebie nie było.

Czułem się tak szczęśliwym w tej chwili, tak potężnym. Nagle czyjaś ciężka dłoń spoczęła mi na ustach, druga na karku. Oprzytomniałem. Ktoś napadł na mnie. Zacząłem się bronić. Udało mi się chwycić napastnika za gardło, lecz w tej samej chwili poczułem niesamowity ból pod czaszką. Zakręciło mi się w głowie po raz drugi w tym dniu, lecz tym razem zemdlałem . . .

•

Kiedy otworzyłem oczy, był już dzień. Ze zdziwieniem spostrzegłem, iż znajduję się w wymalowanym na biało pokoiku, zalanym potokami słońca. Naprzeciw mnie siedziała uśmiechając się do mnie kobieta ubrana na biało.

— Gdzie jestem, co się ze mną stało? — zapytałem nieśmiało po chwili.

Kobieta ze słodkim uśmiechem odrzekła:

— Niech pan będzie spokojny, tu się panu krzywda nie stanie. Jest pan w szpitalu. Przywieziono tu pana wczoraj rano. Znaleziono pana we krwi w jakimś zaułku na przedmieściu. Ale dzięki Bogu nic złego panu nie grozi.

Usłyszawszy słowo „zaułek" zerwałem się ku wielkiemu niezadowoleniu pielęgniarki, która starała się ułożyć mnie z powrotem na łóżku.

— Na miłość Boską, niech mi pani powie, którego dzisiaj jest! — zawołałem.

— 30 listopada — odrzekła nachylając się nade mną, aby mnie ułożyć.

— 30 listopada! — wykrzyknąłem radośnie i nie namyślając się wiele nad bólem głowy i wszystkich kości, porwałem przerażoną pielęgniarkę i pocałowałem kilka razy.

— Proszę pana, co pan wyrabia, pan jest chory — dąsała się zaróżowiona pielęgniarka.

— Nic mi nie jest. Proszę mi przynieść szybko papier i ołówek i jeszcze raz dokładnie opowiedzieć, jak to było z tym zaułkiem.

Pielęgniarka pierwszy raz widząc takiego jak ja pacjenta, wyszła mocno zdziwiona. Po chwili wróciła przynosząc pióro, papier i gazetę.

— Tu pan dokładnie przeczyta swoją historię — rzekła podając mi gazetę.

Na pierwszej stronie dużymi literami czernił się napis: „Zagadkowy napad w zaułku". Potem następował dokładny opis mojej osoby wraz z rodowodem od prababki, a następnie opis miejsca wypadku. Między innymi czytałem: „oprócz przewagi fizycznej napastnik miał pierwszorzędne warunki terenowe. Ofiara napadu nie mogła się bronić ucieczką, gdyż jedynym wyjściem z tego zaułka była droga prowadząca do niego. Już najwyższy czas, aby władze miejskie postarały się o zlikwidowanie wszelkich zaułków i zakamarków na terenie miasta, gdyż gnieździ się w nich jedynie występek i zbrodnia."

Wreszcie na końcu tego tak zbawiennego dla mnie artykułu przeczytałem, że „dochodzenia są w pełnym toku".

— Dobrze rzekłem sobie w duchu — więc to tyle trzeba było przejść, aby się dowiedzieć, co to jest zaułek? Ale nie szkodzi. Niech się dochodzenia toczą, a ja szybko napiszę moje zadanie.

Po zniszczeniu stu arkuszy papieru i spisaniu całego wiecznego pióra „Zaułek" był gotów.

— Trzeba go teraz jak najprędzej posłać do Marysi — pomyślałem i zacząłem się rozglądać za pielęgniarką, lecz w tej chwili drzwi się otwarły i ukazała się Marysia, a za nią pielęgniarka.

— Tu leży ten pan — rzekła do niej.

Serce uciekło mi pod ramię na jej widok. A jeśli ten „Zaułek" się nie spodoba?

Tymczasem Marysia podeszła do mnie.

— Ładnie się sprawujesz. Rozbijasz się jak zwykły bandyta. Gdzie „Zaułek"?

Nieśmiało podałem jej zapisany plik kartek. Zabrała się gorliwie do czytania, mnie zaś na nowo opadły niewesołe myśli. Tyle przecierpiałem, aby dogodzić tej, którą kocham nad życie. Ale czy ona to oceni? Co będzie, jeśli jej moja praca nie zadowoli?

Tak zatopiony w myślach nie spostrzegłem, że Marysia skończyła czytanie. Poczułem tylko jej słodziutkie usteczka na moich i cichy szept:

— Bardzo dobrze, kochanie.

Całe moje jestestwo opanowało jedno, wielkie uczucie szczęścia i radości.

Byłem uratowany.

OFERTA

NOWELA
NAPISAŁ HAZET

Gdy służący Jan, brząknął oszklonymi drzwiami salonu i wszedł na werandę, pani Anna podniosła oczy znad książki i zauważyła po raz pierwszy, że posiwiał na skroniach.

— Czyż to możliwe — pomyślała. — Zdaje mi się, że tak jeszcze niedawno był chłopcem kredensowym. A gwizdał . . .

I odkładając na kolana czytaną powieść, spytała:

— A co to, mój, Janie?

— A to proszę jaśnie pani przyszedłem względem tego świadectwa co mi jaśnie pani obiecała napisać.

— Co ci tak pilno?

— Bo właśnie znalazłem w gazecie taką jedną ofertę . . .

— Pokaż . . .

I czytała:

„Potrzebny służący do zamożnego domu. Oferty, ze świadectwami chlebodawców, proszę nadsyłać do Administracji dóbr Purchawice, poczta Wydymki."

— No tak! Widzę. Rzeczywiście mógłbyś tam napisać. Świadectwo wręczę ci jak najprędzej, ale wpierw muszę ci Janie powiedzieć, że mi jest bardzo przykro rozstawać się z tobą.

— I mnie nie wesoło.

— Ale sam zrozum, że obecny nasz stan majątkowy . . .

— Rozumiem. Doskonale rozumiem! A no, trudno. Jak mus, to mus. Żeby tak nie żona i dzieci, to ja bym chętnie i na darmochę u jaśnie pani pozostał.

— Dziękuję ci.

— Nie ma za co. Jaśnie pani zawsze była dla mnie dobra jak anioł.

Uśmiechnęła się.

— Nie przesadzaj, mój drogi! To ja jestem ci zobowiązana. Tyle serca nam okazałeś. Pielęgnowałeś nieboszczyka pana jak syn.

— Et! Co o tym mówić. Robiło się, co się mogło . . .

— A wieleż ty lat jesteś tutaj, bo się jakoś połapać nie mogę.

— Chyba będzie ze dwadzieścia i osiem. Miałem trzynaście lat jak tutaj, do dworu, nastałem, a teraz już mi czterdziestka minęła.

— Jakież to przykre. Tyle lat, tyle lat . . . Pani Anna spojrzała na zachwaszczony ogród, na niegracowane ścieżki, na przewrócony parkan. na dziurawy, na wpół zawalony, dach oranżerii . . .

Ruina.

— Tak, tak. Nie można inaczej. Trzeba się ścieśnić. Ograniczyć w każdym wydatku.

Westchnęła i rzekła:

— No to wiesz co? Może ja sama do tych Purchawic napiszę. Dobre tam zrobi wrażenie jeżeli zarekomenduję cię osobiście. Zostaw mi tę gazetę, a zaraz się do tego zabiorę.

— A no i owszem, jeżeli jaśnie pani już taka łaskawa — pocałował ją w rękę — bo ja . . . tego . . . do pisania nie bardzo. Mój Heniuś ma dopiero dziesiąty rok, a już lepiej ode mnie wszystko umie wypisać. Tera już takie czasy nastały. Ojcowie, jak to bydło, ni czytać, ni pisać porządnie nie umieją, ale dzieci mają nauczne . . .

• •

Rekomendacja pani Anny dobre widocznie zrobiła wrażenie. Odwrotna poczta przyniosła polecony i obszerny list z Purchawic.

Pani Anna czytała:

„Szanowna Pani.

Dziękuję za osobiste polecenie mi swego służącego i cieszę się, że może na koniec trafię na odpowiadającego mi człowieka, lecz, dla uniknięcia późniejszych nieporozumień i pretensji, muszę wyszczególnić punkt po punkcie moje wymagania, jak również płacę, którą będę mogła lokajowi zaofiarować.

O bezwzględnej uczciwości i trzeźwości nawet wspominać nie warto. Rekomendacja Sz. Pani jest mi dostateczną gwarancją, więc przechodzę do szczegółów.

Służący w moim domu powinien być na nogach już o trzeciej nad ranem. Wyfroterować i wysprzątać dokumentnie dwanaście pokojów, poczyścić buty i ubrania: jaśnie panu, trzem paniczom, dwom korepetytorom, praktykantowi i gościom. Powinien napalić pod blachą w kredensie i przygotować ranne śniadanie dla wszystkich, a także roznieść je na tacach po sypialnych pokojach. Jednym słowem zająć się wszystkim.

Zastrzegam również, że powinien być silny, bardzo silny, gdyż do niego należeć będzie obowiązek dźwigania mojej świekry, bardzo otyłej osoby, z łóżka na fotel i z fotela na łóżko, a także obwozić ją w wózku dla paralityków po ogrodzie.

Powinien być bezgranicznie łagodny i cierpliwy. Mój mąż jest bardzo nerwowy. Byle co wytrąca go z równowagi. Unosi się gniewem, wymyśla, bije . . .

Wymagam również żeby był postawny, miłej powierzchowności — wolałabym bruneta — gdyż nasza liberia, którą obowiązany będzie nosić, jest wiśniowego koloru, co przy blond lub rudych włosach nie zbyt estetycznie wygląda.

Pisze mi pani, że człowiek jest familijny niestety, więc z góry zastrzegam, że pod żadnym pozorem nie pozwalam jego żonie lub dzieciom zachodzić do dworu.

Palenia papierosów najsurowiej zabraniam.

Resztek z obiadu nie wolno mu ruszyć, ani pomyj do domu wynosić i pod tym względem żadnych ustępstw być nie może.

Potłuczona porcelana i szkło będzie mu z pensji strącana.

Nadmienię również, że nie znoszę bezczynności, więc w lecie, w chwilach wolnych od zajęć, będzie zbierał tenisowe piłki dla paniczów, a zimą będzie kręcił postronki z konopi lub cerował skarpetki dla swego chlebodawcy.

Poza tym nie wolno mu nocować gdzie indziej jak na sienniku w przedpokoju i z nikim tylko z siekierą, którą — w razie bandyckiego napadu — będzie bronił do ostatniego tchnienia naszego życia i dostatków.

Oto mniej więcej moje zastrzeżenia, więc teraz przechodzę do strony materialnej. Wynagrodzenie lokaja w moim domu równa się wynagrodzeniu zwykłego f o r n a l a. Izba w czworakach, ordynaria i pensja fornalska."

Pani Anna odłożyła list na kolana. Litery skakały jej przed oczami. Trzęsła się cała ze śmiechu.

— Z czego mamusia tak serdecznie się śmieje — spytała się Zosia, wchodząc do pokoju.

— Przeczytaj . . .

Przeczytała.

— Biedny Jan — westchnęła.

— Wcale nie biedny. Nie mam zamiaru pokazać mu tego listu. Już ja to jakoś sama załatwię.

— Ale niechżeż jej mamusia nie szczędzi.

— Nie obawiaj się.

I pisała:

„Szanowna Pani. List pani przeczytała przed chwilą i nie mogę inaczej jak doradzić Sz. Pani by w niebie — w poczecie świętych a raczej męczenników — szukała sobie służącego. Na ziemi, niestety, nie ma tak dobre. Wymaga pani od człowieka pracy galernika, jak również wszystkich cnót kardynalnych i popęd fizycznych wzamian za płacę mniej niż normalną . . ."

Nastąpiła wymiana ostrej korespondencji.

„Wypraszam sobie podobne rady. Mój mąż potrafi ująć się za mną . . ."

„Niestety stanąć mu do pojedynku nie mogę, ale nic nie będę miała przeciw temu, by sąd honorowy orzekł jaką mam dać pani satysfakcję . . ."

Itd., itd.

Sąd honorowy, złożony z okolicznych obywateli, pokładał się ze śmiechu i orzekł, że nie ma powodu do obrazy i przeprosin.

Lecz ta cała sprawa była wielką reklamą dla Jana i dobrze się odbiła na jego przyszłości.

Sędziowie licytowali się o niego. Kto więcej . . .

KALAMBURY

Mięso ze słonia — słonina.

Mocz konia — koniak.

Pieczeń z kury — kuraż.

Człowiek używający kąpieli słonecznych — słonecznik.

Kominiarz — sadzonka.

Mieszkaniec boru — bornik.

Kobieta wyrafinowana — rafineria.

Mieszkaniec Kuby — kubek.

Sędzia — karaś.

Człowiek urodzony w zimie — zimorodek.

Dorożkaż wiozący parę małżeńską — parowóz.

Człowiek dużo myślący — myśliwy.

Mieszkaniec zbocza górskiego — zboczeniec.

Cierpiący na świerzb — drapacz.

Kobieta w obliczu namiętnych słów uwodziciela — wahadło.

Właściciel ogrodu figowego — figlarz.

Kobieta dłużna — winnica.

Rozbójnik — krwawnik.

Myśliwy — celnik.

Kobieta plotkarka — rozgłośnia.

Awanturnik — wykrzyknik.

Dziecko płaczące po nocach — budzik.

Lunatyk — nocnik.

Strażak — lejek lub gaśnik.

Znalazca portfelu — spadkobierca.

Człowiek pilny — pilnik.

Wpadający do wody — dowódca.

Sprzedawca kłódek — kłótnik.

Murzyn czytający książki — czarnoksiężnik.

Kobieta podsłuchująca — słuchawka.

Żona księcia — książka.

Człowiek głuchy — głuszec.

Zbieracz grzybów — grzybień.

Zbiory biblij — biblioteka.

—mg—i—la

FILHARMONIA G. G.

VII KONCERT SYMFONICZNY

VII Koncert Symfoniczny — jeden z najpiękniejszych koncertów tegorocznego sezonu koncertowego, a co zatym idzie, i jeden z darzących największą ilością wzniosłych wrażeń muzycznych. Tak wskutek dość ciekawego programu (Uwer-



Solista VII koncertu Filharmonii znakomity skrzypek Władysław Wochniak.

tura Schuberta Rosamunda, Koncert skrzypcowy Nr 22 a-moll Viottiego i Bethovena IV Symfonia), jak również wskutek znakomitego odtworzenia programu przez orkiestrę — dyrygował Hindemith — która miała jeden z najszczęśliwszych swoich dni, i wskutek współudziału doskonałego skrzypka Władysława Wochniaka.

Uwertura Schuberta otrzymała tak staranne — wypieszczona wprost — szatę odtwórczą, że słuchało się uwertury z pewnego rodzaju zadziwieniem, z wewnętrzną rozkoszą, jako że taka rozkosz nie należy do często spotykanych zjawisk.

Gra Wochniaka wymaga dużej sali koncertowej, doskonałej orkiestry symfonicznej, z dyrygentem subtelnie czułym na przejawy piękna muzycznego, i doskonałego instrumentu. Na niedzielnym koncercie wszystkie te wymagania osiągnęły idealne wprost zaspokojenie. Toteż gra Wochniaka zajaśniała w całym swym — we wszelkich szczegółach — doskonałym kompleksie, w całej swej okazałości, w całym — można rzec — majestacie. Wochniak grał koncert Viottiego, w opracowaniu Davida, przy czym z dwóch wersyj drugiej części (Adagio) przeniósł wersję głębsza, która odpowiadała bardziej rodzajowi czy inklinacjom jego odtwórczego talentu, nad wersję błyskotliwszą ornamentyką. Wykonanie całości osiągnęło wyżyny prawdziwego artyzmu. Pierwsza część — Moderato z technicznie odtworzoną kadencją, rozbrzmiała wspaniale, zwłaszcza te wycyzelowane do ostatnich granic trylki wprawiały w górny zachwyt. Adagio z jednej strony dobyło całą utajoną głębię, z drugiej subtelną śpiewność. Agitato zagrane z temperamentem i doskonałą techniką, sprawiło głębokie wrażenie. Wochniak grał na skrzypcach włoskich Storiniego, o brzmieniu wspaniałym. Akompaniament orkiestry w idealnym wprost umiarze, zezwalający na oddanie wszelkich niuansów w niezamąconej czystości. W takich warunkach, wykonany koncert Viottiego zjednał koncertantowi długotrwałą oklaskową owację. Na bis odegrał Wochniak wyjątek ze skrzypcowej Sonaty Bacha, przyjęty żywiołowymi wprost oklaskami.

IV Symfonia Beethovena, tak zwana Romantyczna, opracowana do subtelnych szczegółów, z pietyzmem, znawstwem i starannością Hindemitha — użyjmy tego zespołu słów, który ma zarodki tendecyjne przejścia w przysłowie — musiała zabłysnąć pięknem muzycznym. Orkiestra brzmiała bardzo czysto, odczuwając każdą intencję subtelnego dyrygenta. Oklaski omal niemilknące zmusiły do powtórzenia trzeciej części.

Zelowski

KĄCIK SZACHOWY NR 5

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

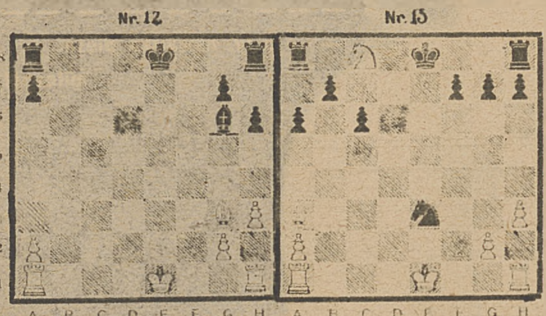
Roszada (ciąg dalszy).

Diagram nr. 12 jest ilustracją punktu 5: w którym jest mowa o możliwości roszady, jeśli tylko wieża spod króla roszującego jest zaatakowana.

W końcu zaznacza się wyraźnie, że **roszada jest dopuszczalna w tym wypadku, gdy tylko wieża jest atakowana** lub **jeśli musi przejść przez pole, które jest atakowane przez bierkę przeciwnika** (patrz diagram nr 12).

W pozycji, przedstawionej na diagramie nr 13 nie mogą roszować ani czarne ani białe. Powody podajemy poniżej dokładnie. Dla białych jest niedopuszczalną roszada wieżą królewską, a także wieżą hetmańską, gdyż czarny skoczek na e3 atakuje pola f1 i d1. Tak samo czarne nie mogą roszować wieżą królewską, gdyż goniec a3 atakuje pole f8, przez które król w roszadzie na stronę wieży królewskiej musiałby przejść.

Roszada wieżą hetmańską dla czarnych jest niedopuszczalna, gdyż na polu c8 stoi biały skoczek. Byłaby ona oczywiście niedopuszczalna także i wtedy, gdyby na polu c8 stał czarny skoczek.



3) SPOSÓB CHODZENIA I PRZEMIANA PIONÓW

Pion chodzi w kierunku prostym naprzód o jedno pole. Ze swego pola początkowego (a więc przy pionach białych z drugiej linii poziomej, przy czarnych z siódmej linii poziomej) może jednak (lecz nie musi) iść o 2 pola naprzód (może iść też tylko o jedno pole naprzód). A więc z pozycji początkowej (patrz Kącik szachowy Nr 1) można grać np. 1. e2—e4 (lecz także można grać: zamiast 1. e2—e4, 1. e2—e3, według upodobania, to samo odnosi się do ruchu każdego pionka białego, czy czarnego z pozycji początkowej).

Pion bije (zabija) inaczej, niż chodzi, gdyż bije naprzód o jedno pole w bok na prawo lub na lewo (o ile i stosownie do tego, jak się okazja, czy też korzyść ku temu nadarza). Pion nie działa nigdy i nigdzie wstecz ani w chodzie, ani w biciu. Więc np. pion biały, stojący na e4 może iść na pole e5, o ile pole to jest puste (nie zajęte). Jeśliby na pole d5 lub f5 stał pion czarny, wówczas pion biały z pola e4 mógłby (nie musiałby) bić piona d5 lub f5. Jest to bicie przez piona zwyczajne w odróżnieniu od bicia pionem w przelocie, o czym piszemy poniżej.

Jeśli pion ze swego np. pierwotnego pola (a więc z linii poziomej drugiej lub siódmej) rusza o 2 pola, a na jednym z sąsiadujących pól znajduje się pion przeciwnika (np. pion biały rusza z pola e2 na e4, a na polu d4 lub f4 znajduje się pion czarny) wówczas ten pion sąsiadujący — w wypadku tu opisanym pion czarny d4 lub f4 może (nię musi) bić piona białego, tak, jak gdyby tenże ruszył tylko o jedno pole (a więc w naszym przykładzie pion czarny d4 lub f4 może (nie musi) bić piona białego na polu e3 (należy więc zdjąć z szachownicy pola białego e4, a na polu e3 umieścić piona czarnego z pola d4 lug f4).. To prawo (możność, lecz nie obowiązek) bicia t. zw. w przelocie (znaczy się to zwykle w skróceniu: e. p., z francuskiego en passant) mają z pośród bierek jedynie piony i to tylko w ruchu następującym bezpośrednio po ruchu piona przeciwnika, dającego do tego sposobność, lecz w późniejszym terminie już to prawo wygasa (oczywiście co do danego tylko wypadku, gdyż może później nadarzyć się w innym miejscu znowu sposobność takiego bicia w przelocie).

To prawo bicia w przelocie (en passant) stanowi jedyny wyjątek od obowiązującej powszechnie zasady, że każda bierka może być bitą na tym tylko polu, na którym ona stoi. Oczywiście prawo bicia w przelocie przysługuje obu stronom (białym i czarnym) w miarę nadarzającej się ku temu sposobności.

Pion bity w przelocie (tylko pion może być bitym w przelocie, figura nie) jest więc zabitym na tym polu, przez które przechodzi (przebiega, niejako przelatuje) — stąd nazwa się przyjęła — w przelocie.

Jeśli w toku gry pion jednej strony (obozu) wchodzi na linię figur przeciwnika; a więc pion biały na linię poziomą ósmą, lub pion czarny na linię pozoma (pierwszą), wówczas musi się zamienić równocześnie na jedną z figur koloru swego obozu (pion biały na białą figurę, pion czarny na czarną figurę), której wybór następuje według upodobania partnera, dorabiającego figurę.

Nie potrzeba się więc krępować tą okolicznością, że powstaje więcej figur tego samego rodzaju, a więc wolno dorobić sobie z 8 pionów (o ile według możliwości teoretycznych dotarłyby na linię ósmą, wzgl. pierwszą) np. 8 hetmanów, czy 8 wież, czy 8 gońców czy wreszcie 8 skoczków. Oczywiście zamiana na króla jest niemożliwą, gdyż każda z partii może mieć tylko jednego króla. Oczywiście swobodę zamiany na figurę należy rozumieć tak, że np. białe jednego piona dorobionego zamieniają na hetmana, drugiego zamieniają np. na wieżę (niekoniecznie na hetmana, jak się to z pierwszym pionem stało), oczywiście zupełnie wedle upodobania, lecz w każdym razie muszą na jakąś figurę (z wyjątkiem jedynym, że nie na króla) tego samego koloru, którego pion dorabiający, zamienić.

STUDIUM Nr 2

H. Mattison (I. nagr. w konk. Szachm. 1927)

Czarne: Kh8, Wb6, G—g7 (3).
Białe: K—e1, Sh6, piony: a6, b5, d2 (5).

ROZWIĄZANIE PROBLEMU Nr 1 (3-chod. Limbacka):
1. G—g8!; I. 1 . . . d5 2. G—e8 i 3×; II. 1 . . . S—g5 2. S—g4 i 3×; III. 1 . . . S—f6 2. S—c4 i 3×.

PARTIA Nr 3

Białe: **W. Schmidt** — Czarne: **Scriba**

grana korespond. w turn. Deut. Schachztg. 1941
Hiszpańska.

1. e2—e4 e7—e5	12. Gb3—c2 d5—d4
2. Sg1—f3 Sb8—c6	13. c3×d4 Sc6×d4
3. Gf1—b5 a7—a6	14. Sf3×d4 Hd8×d4
4. Gb5—a4 Sg8—f6	15. Hd1—h5 [1]) h7—h6? [2])
5. 0—0 Sf6×e4	16. Sd2—e4 Wf8—d8
6. d2—d4 b7—b5	17. Gc1×h6 Hd4×b2
7. Ga4—b3 d7—d5	18. Se4×c5 Ge7×c5
8. d4×e5 Gc8—e6	19. Hh5—g5 Gc5—f8
9. c2—c3 Gf8—e7	20. Gc2—e4 Ge6—d5
10. Wf1—e1 0—0	21. Wa1—d1 Hb2—b4
11. Sb1—d2 Se4—c5	22. Ge4—b1! Hb4—e7

Białe poddały się, gdyż prowadzący partię białych zgłosił się do wojska i wystąpił z turnieju. W pozycji przerwanej mają białe lepszą pozycję i po ruchu 23. H—g3 powinne były wygrać partię.

UWAGI:

1) Bardzo rzadko grane i polecone przez Aljechina w książce turniejowej z Zurychu z r. 1934, gdyż „prowadzi do ożywionej gry."

2) Osłabia skrzydło królewskie. Także 15 . . . g6 byłoby słabym, gdyż po 16. H—h6 grożą białe silnym atakiem S—f3—g5. Regedziński grał czarnymi w partii z Factorem 15 . . . S—d3! i słusznie polecał to na łamach Deut. Schachzeitung z r. 1913. Euwe w swoim nowym dziele o teorii nie wspomina o ruchu 15. H—h5.

Klient: — Czy są już moje buciki gotowe?
Szewc: — Właśnie zeluję drugi.
Klient: — A więc pierwszy bucik jest już naprawiony?
Szewc: — Nie! Zacząłem bowiem robotę od drugiego buta.

*

Oskarżony inwalida: — Panie sędzio, to nie ja, ale moja ręka uderzyła poszkodowanego.
Sędzia. — Zatem skazuję pańską rękę na dwa miesiące aresztu.
Oskarżony (odpinając z prawego ramienia protezę i składając ją na stole sędziowskim): — Skazaną rękę zostawiam do dyspozycji wysokiego sądu.

*

— Zgłosiłem się panie dyrektorze, gdyż słyszałem, że pan poszukuje sekretarza.
— Owszem, ale zaznaczone było w ogłoszeniu, aby zgłaszać się pisemnie, nie osobiście.
— Wiem o tym, ale jestem niepiśmienny.

*

— Gdzie leżała Troja?
— Przy górze Ida.
— A gdzie leżała Ida?
— Obok Troi.
— Ale gdzie leżała Ida i Troja?
— Obok siebie.

*

— Cóż to za łotry ci mężczyźni! Przysięgam ci, że gdyby mój pierwszy mąż nie umarł, nie wyszłabym powtórnie zamąż.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

— Panie profesorze, czy można karać za coś czego się nie zrobiło?
— Naturalnie, że nie.
— Ja właśnie nie zrobiłem zadań.

*

— Ilu masz braci?
— Jednego.
— To dziwne! A twoja siostra mówiła, że ma dwóch braci.

*

Przewodnik do turystek oglądających wspaniały wodospad:
— Gdyby panie na chwilę przerwały rozmowę usłyszelibyśmy ryk wody.

*

— Jeśli będę miał minutkę czasu wstąpię do ciebie na godzinkę.

*

— Toś padł przy egzaminie?
— Nie mogłem dać rady profesorom, bo ich było trzech, a ja tylko jeden.

*

PRZY MÓWNICY...

— Czy pan z ludzi kpiny robi? — oburza się białogłowa,
Już przez kwadrans pan słuchawkę ma do uszu przyłożoną,
I przez cały czas nie wyrzekł ni jednego nawet słowa...
— Pardon... madame — gość odfuknął — ja rozmawiam
(ze swą żoną...

TEŻ POWÓD...

Śpiącego do pół dnia męża — żona haczy:
—Jakżeż spać tak długo... wstawajże mi zaraz!!...
— Widzisz... w śnie zgubiłem czapkę — mąż tłumaczy —
— Tak długom jej szukał... ledwiem teraz znalazł...

DWIE STRONY MEDALU...

O rękę panny młodzian boje toczy,
Pokornie o nią prosi przyszłe teście...
I promienieją mu ze szczęścia oczy,
Gdy przy ołtarzu ma tę rękę wreszcie.

A potem... potem... Dobrze się we znaki
Ta ręka daje... tyle złego broi...
Od niej wszak zbiera mąż guzy, siniaki...
Więc i przeklina ją, na czym świat stoi.

WAŻNA PRZYCZYNA

— Czemuż to zerwałaś z Jankiem zaręczyny,
— Mimo, iż z nim byłaś na tak dobrej stopie?
— Musiałam to zrobić, a to z tej przyczyny,
— Bo się przekonałam, że zbyt w nocy... kopie.

Ia



— Jakaś dama chce się widzieć z panem dyrektorem. Twierdzi że umówił się pan z nią na godzinę 11-tą rano. — Das Illustrierte Blatt

KĄCIK KARYKATURZYSTY



ZABOBONNY

— Urodziłem się 5. V. mieszkam w domu pod Nr. 5. na piątym piętrze i mam pięcioro dzieci. W związku z tym postawiłem w piątek na wyścigach 5 złotych, na konia Nr. 5, w piątej gonitwie.
— No, i zwyciężył ten koń?!
— Przybiegł do mety piąty!...

Rys. Jan Buczkowski — Kraków



CUD — Rys. Stamm





— Wstawaj Jasieńku, jakiś złodziej jest w kuchni!
— Po cóż mam wstawać? Czy chcesz może, żeby się na moje miejsce położył?

Das Illustrierte Blatt

*

Doktór: — Czy lepiej się czuje pan po lekarstwie, którem panu zapisał?
Pacjent: — Lepiej, choć jeszczem go dotychczas nie dostał.
Doktór: — Tym lepiej, że sama recepta pomogła.

*

Młody lekarz: — U mnie to się drzwi nie zamykają.
— Tyle masz pacjentów?
— Nie, tylko zamek jest zepsuty.

*

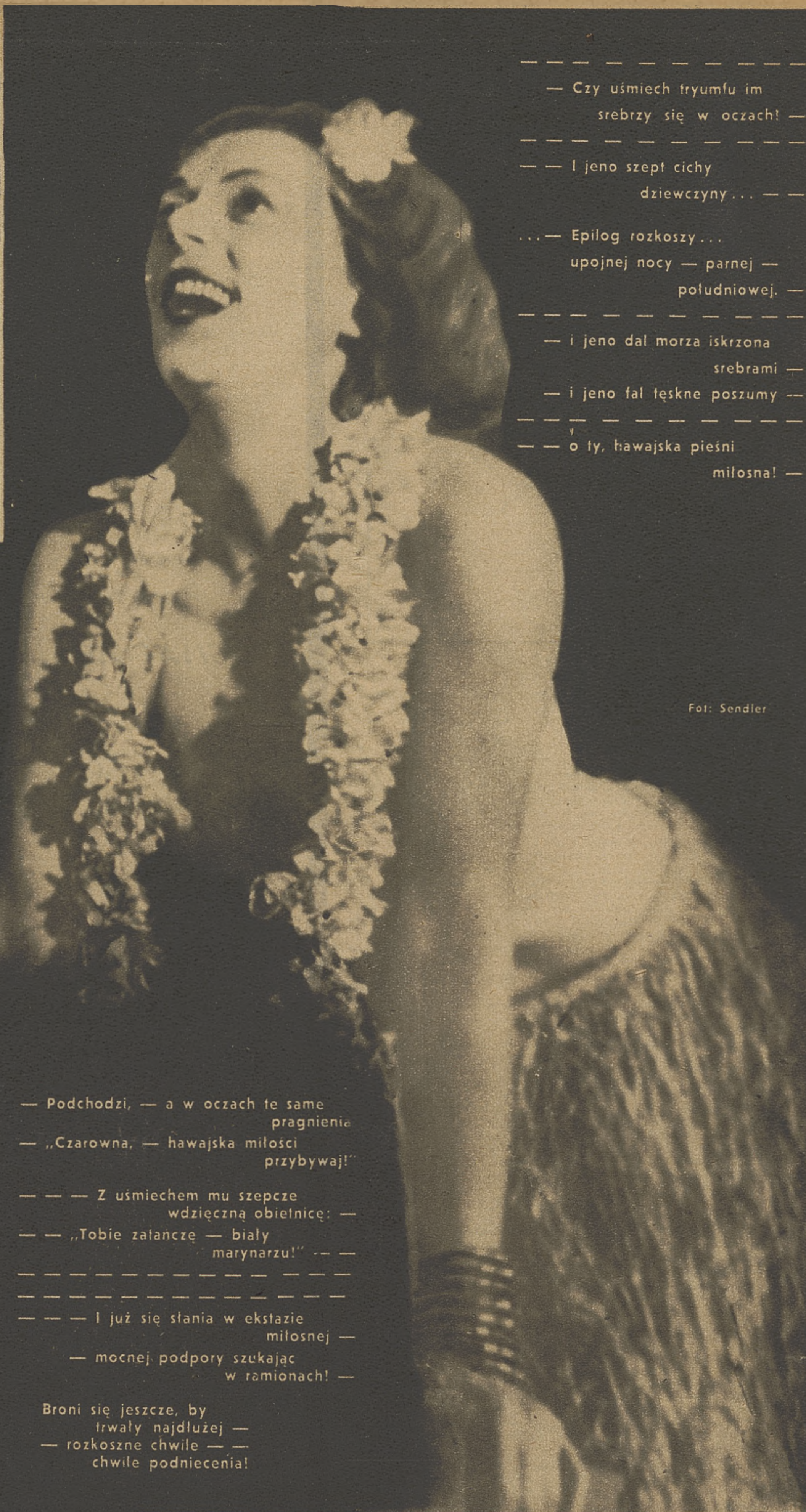
Wdowiec: — Proszę księdza dobrodzieja... przyniosłem na mszę za moją nieboszczkę.
Proboszcz: — Jakto?... Dziś umarła i zaraz dziś mszę odprawiać? Może aż pojutrze w dzień pogrzebu?
Wdowiec: — O, nie proszę księdza! Ja sobie ślubowałem, że dam zaraz na mszę jak mi umrze.

PIEŚŃ MIŁOŚCI



Wśród krzewów — na kwiecia puchowym kobiercu —
— — Śniła — ona — hawajska dziewczyna; — — —
— o miłości — szalonej — upojnej — gorącej, — — —
— a żar krwi —
młodości — uniesień i ziemi —
prężył jej cudne ramiona —
i budził z rozkosznej męki — snu.
— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —
A obok — za gajem — na piaskach złotego brzegu —
— błądził — on — biały marynarz —
i znakiem kwiatów na szyi —
wzywał na gody dziewczynę:

— — „Pójdź dziewczyno! — —
— Nim okręt odjedzie w bezkresną mórz dal —
— czerwone słodycze ust spijem haustami!" —



— — — — — — — — — —
— Czy uśmiech tryumfu im
srebrzy się w oczach! —
— — — — — — — — — —
— — I jeno szept cichy
dziewczyny . . . — —

. . . — Epilog rozkoszy . . .
upojnej nocy — parnej —
południowej. —
— — — — — — — — — —
— i jeno dal morza iskrzona
srebrami —
— i jeno fal tęskne poszumy —
— — — — — — — — — —
— — o ty, hawajska pieśni
miłosna! —

Fot: Sendler



— Podchodzi, — a w oczach te same
pragnienia
— „Czarowna, — hawajska miłości
przybywaj!"

— — — Z uśmiechem mu szepcze
wdzięczną obietnicę: —
— — „Tobie zatańczę — biały
marynarzu!" — —
— — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — —
— — — I już się słania w ekstazie
miłosnej —
— mocnej podpory szukając
w ramionach! —

Broni się jeszcze, by
trwały najdłużej —
— rozkoszne chwile — —
chwile podniecenia!



